**Druga szansa**  
Ziemia zmieniła się nie do poznania. Jakby ożyła na nowo. Zieleń ciągnęła się na całe horyzonty, a zewsząd dobywały się dźwięki natury: radosny ćwierkot ptaków, szelest liści lub ryki godowe nieznanych nikomu zwierząt. Wszystkie kontynenty pozamieniały się miejscami, niekiedy rozdzielając się na mniejsze bądź, łącząc się w grupy, tworzyły wielki ląd. Klimat zmienił się nie do poznania. Upalne, duszne i suche lata zmieniły się na chłodne i deszczowe. A śnieg stał się stałym elementem krajobrazu na całej planecie.  
 A to wszystko stało się przez katastrofę sprzed ponad 1000 lat. Życie na tej planecie było wtedy o wiele lepsze niż kiedykolwiek wcześniej. Dzięki zawansowanej nauce człowiek był w stanie żyć setki lat. Jednak nic nie jest idealne, więc wraz z rozwojem ludzkości ocieplał się klimat, a przez to ziemia coraz bardziej cierpiała. Aż pewnego gorącego niedzielnego wieczoru nie wytrzymała. Wówczas doszło do trzydziestu erupcji wulkanów na raz. Najbardziej niszczycielskim na pewno był ten znajdujący się w Yellowstone. Wszyscy panikowali, obawiali się tego, że podzielimy los dinozaurów. Tamtej nocy, ponad tysiąc lat temu, szedłem przez centrum Nowego Jorku, gdy niespodziewanie na wszystkich ekranach ukazał się obraz wulkanów, z których wypływała lawa niczym śnieg podczas lawiny góralskiej. A z otwartego stożka wydobywał się czarny jak śmierć dym. Rozgadana i głośna ulica w przeciągu sekundy zamieniła się w cmentarz, wszyscy ludzie zamarli w środku ze strachu. Byłem w stanie usłyszeć szybkie bicie serca osób wokół mnie. Po wybrzmieniu komunikatu każdy zaczął panikować, niektórzy, nie mogąc w to uwierzyć, krzyczeli coś. Inni dzwonili do swoich rodzin, a pozostali po prostu biegli przed siebie i w tym ja. Wiedziałem, że nie pozostało dużo czasu, ponieważ za parę godzin dym wydobywający się z wulkanów zapanuje nad całą ziemią. Technologia co prawda była świetnie rozwinięta, jednak nie na tyle, by móc ewakuować wszystkich ludzi z Ziemi. Słońce już dawno zaszło, a ulice wielkiego miasta, którego neonowe wieżowce sięgały chmur, były rozświetlane przez latarnie i liczne ekrany inforumujące o katastrofie. Po paru minutach biegu przez kolejne skrzyżowania miasta przysiadłem na jednej z ławek i dałem mojemu umysłowi ochłonąć. Pierwsze, o czym pomyślałem, to wydostanie się z tej opresji za pomocą rakiety. Jednak wiedziałem, że nie będzie to proste zadanie, ponieważ rakiet nie było wiele, przez co tylko mała grupa ludzi będzie się w stanie dostać i polecieć na kolonie do innej planety. Po chwili namysłu zorientowałem się, że czas działa na moją niekorzyść, więc pobiegłem, ile miałem sił w nogach do mojego samochodu i wyjechałem w trasę do centrum lotów kosmicznych. Ulice to był istny chaos, ludzie rozbijali się o siebie, po czym wychodzili walczyć między sobą. Frustracja, strach i zamęt panowały wszędzie. Na szczęście miasto znałem doskonale, więc udało mi się wyjechać jedną z bocznych dróg. Był już świt, słońce nieśmiało wychylało się zza horyzontu, a poranna mgła niczym puszysty śnieg przykryła ziemię. Daleko na zachodzie widać było zabójczą chmurę czarnych oparów. A ja ciągle jechałem do mojego celu, być może było już za późno i rakiety były pełne, jednak nie miałem już innego wyboru. Dojechałem na miejsce, gdzie samochody stały porzucone jak nic nie warte zabawki. A ochrona blokowała chmary ludzi próbujących dostać się do rakiet. Czarne chmury jak wielkie ściany otaczały już nas ze wszystkich stron, pożerając wszystko, co stanie im na drodze. Gdy zobaczyłem wielką kolejkę zrezygnowałem z stania w niej i zacząłem biec wzdłuż wielkiego muru, by znaleźć inną drogę. Bariera zbudowana była z czarnych jak pył wulkaniczny cegieł. Wysokością dorównywała drzewom. A jej długość wychodziła poza zasięg moich oczu. Po chwili zaczęło brakować mi siły, a w murze nie było widać żadnych słabych punktów. W tym samym momencie ziemia zaczęła się trząść. W jednej chwili słyszałem trzask łamiących się drzew oraz łomot zawalającego się wielkiego muru. Nagle w murze odsłoniła się wielka dziura. Bez zastanowienia wbiegłem do środka. Moim oczom ukazało się dwadzieścia statków kosmicznych gotowych do startu. Część z nich przewróciła się przez trzęsienie ziemi. A w jednym z promów zobaczyłem uchyloną klapę. Biegłem, ile sił widziałem już jak zbiera się pod nią ogień, by wystartować. Byłem tuż tuż. Resztkami sił skoczyłem, pociągając za sobą właz. Znajdowałem się w małym pomieszczeniu z mnóstwem kabelków. Zanim zdążyłem odetchnąć, poczułem jak jakaś niewidzialna siła wciska mnie w podłogę na tyle mocno, że zemdlałem...   
 Obudziłem się w białym pomieszczeniu, leżąc na łóżku szpitalnym. Nad moją głową stał doktor.  
- Co się stało?- spytałem z zaspanym głosem.  
- Znajdujemy się obecnie na Marsie, a ty miałeś mnóstwo szczęścia, że przeżyłeś tamten lot i jesteś w tym miejscu. Gdyby znaleźli cię parę minut później, nic już by z ciebie nie było- odpowiedział.  
- A co się stało na Ziemi?  
- Cała spłonęła - spokojnie powiedział - jednak według naszych obliczeń powinna odnowić się za około 900 lat. A do tego czasu ciesz się życiem tutaj. Na Marsie.  
Podniosłem się powoli z łóżka i wyjrzałem przez okno, a moim oczom ukazało się miasto otoczone czerwonym pyłem. Nieopodal zobaczyłem teleskop. Spojrzawszy przez niego, ujrzałem wielką płonącą kulę na tle niekończącej się czerni. To była Ziemia. Czyli tak teraz wyglądał nasz świat.

Jakub Oleś, kl.8

SP w Górze Puławskiej, ul. Ogrodowa 18, 24-10 Puławy

nauczyciel j. polskiego: Dorota Chodoła, tel. 693-714-271